

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Święto umarłych w Paryżu. — Święto poetów w Prowancyi. — Ideał religijny. — Baden. — Wesele Figara. — „Les Inutiles” komedia pana Cadol. — Pan Legouvé i jego l'overbe: „A deux de jeu.” — Sławni i niesławni. — Velocipedy. — Wystawa aeronautyczna w Sydenhamskim pałacu. — Wiadomości literackie.

. „Nagle zagasnął blask dzienny,
A gwiazdy w nieskończoność biorąc lot niezwykle
Zbłąkawszy się, olśnawszy, uciekły i znikły
Bez nadziei powrotu. Ziemia lodowata
Wisiała ślepa pośród zaćmionego świata.
Ranki weszły, minęły, ale dnia nie było —
I wszystkie namiętności zatłumiła trwoga.
Serce rodu ludzkiego jedną żądzą biło,
Cały ród ludzki prosił o jedno u Boga
O światło.....”

Komuz, kto czuje i myśli, ten sen Bayrona nie pokutuje w głowie o tej posępnej porze, kiedy na ziemi październik, a na niebie już swoje kiry rozwiesza listopad, smutny miesiąc, otwierający w Paryżu epokę uciech świętem umarłych.. Kiedy zasmucony konaniem natury i perłowym kolorem powietrza, jak w ciemnicy zamknięty więzień, skupia się w sobie i krzysiwnem uczucia wydobywszy iskry z pomników wspomnień, przy ich blasku rozpatruje się w swych labiryntach, prosząc Stwórcę o promień niebieskiego światła.. Komuz w tym zmierzchu, czy w niebo spojrzy czy w serce, nie stanie w oczach ognistemi zgłoskami na tle czarném wypisany ów czterowiersz, także pod wrażeniem mgły albionńskiej skreślony:

„Gdyś wiek przeminął, wstrzymuj się u ścieku,
Ostatniem powróć na przeszłość obliczem;
Zlicz dni szczęśliwe, a wyznasz człowieku
Czémkolwiek byłeś, że lepiej być niczém.”

Nam przynajmniej ten mrok, ponury zwiastun zimy, i ta processya wśród mgły ciągnąca ku cmentarzom, zawsze na bajronowski kamerton nastroja duszę, chociaż na pierwszy rzut oka cmentarze paryżkie nie przedstawiają okropnego, ani nawet smutnego widoku. Przeciwnie, powierzchowność ich daje oku tyle zajęcia, że myśli trudno w głąb się zapuszczać. Szerokie ulice brzeżone wykwintnymi pomnikami, białe marmurowe kaplice otoczone kwieciami i zielenią, piękne aleje prowadzące nieznacznie do wysokich szczytów, czyli do okazałych okręgów zamieszkałych przez wielmożnych nieboszczyków: oto fizyonomia tych wypchanych ludzkimi kośćmi wzgórz, które z trzech stron nad Paryżem górują.

Kwatery biedaków stanowią przedmieścia tych miast nienomych; na Père-Lachaise okalają wieńcem pyszne pomniki bogaczy. Poznajesz zdaleka ubogie groby po ich rozmiarze, i mimowoli przychodzi ci do głowy smutna uwaga, że równość nie większa tu jak gdzieindziej, że ziemia umarłych jak ziemia żywych, ma rozmaite pokłady mieszkańców, że cmentarz jak morze, na ubitym z małych muszli gruncie, sadi korale, perły i polipy.

Skoro dzień Wszystkich Świętych się zbliża, sklepy kamieniarzy okalające cmentarze, przybierają świąteczną postać: jak na wesele stroją się w girlandy, bukiety i wieńce. Uradowane twarze architektów śmierci, same jedne uśmiechają się wśród powszechnej żałoby; zaduszki są bowiem ich żniwem, plon obfity, dochód wielki i pewny, gdyż tłum zapelniający w tych dniach paryżkie cmentarze, nie jest czerem zbiegowiskiem ciekawych, ale rodziną tych co tam leżą, składa się z krewnych i przyjaciół, z których każdy ma sobie za obowiązek kupić i złożyć na drogim grobie hold miłości lub uwielbienia.

Rzecz dziwna, że zwykle tak płoża i cyniczna populacya Paryża, ma wysoko rozwiniętą cześć dla umarłych: widząc ją przeistoczoną w Dzień Zaduszny, całą czarną i zasmuconą pod wielkim krzyżem, anibyś się domyślił, że to ciż sami ludzie co przez trzysta sześćdziesiąt cztery dni roku, frymarchą, handlują i szyczą ze wszystkiego.

Ów krzyż czarny górujący nad innemi, znaczy ogromną kościarnię, do której co trzy lata zsypują wszystkie kości wybrane z tak zwanego *fosse commune* nie znanego u nas miejsca. Jestto grób wspólny wszystkim wydziedziczonym dzieciom fortuny, miejsce spoczynku tych, którzy po sobie nie zostawili nic coby miało jaką-bądź wartość *nominalną*, których trupa, nie wchodząca w inne wartości społeczność chętnieby rzuciła z globu, gdyby to zrobić się dało, a że się nie da, grabarze rzucają ciało biedaka bez trumny do wspólnego dołu, na stos jemu podobnych, i dobrze posypawszy wapnem, aby długo nie zawadzał, przywalają ziemią.

Okolo tego godła wiary wzniesionego pamięci maluczkich i nieszczęśliwych, zbiera się największy tłum, jak mrówki dźwigające ze wszech stron do mrowiska przeróżne zdżbła leśne, tak tu

ludzie się cisną żeby u stóp krzyża złożyć to uczucie, to bukiet, to obrazek, to statuetkę, to kwiatek. Stos tych hołdów rzuconych bezładnie, jest wiernym obrazem szczątków co leżą pod nim, zmieszane w komunizmie zgnilizny.

Nieraz, piśmiennie i słownie, powstawano tu na ten dół wspólny; między innemi Felix Mornand mocno się oburza na ten barbarzyński obyczaj: „Jesteśmy, mówi on, mniej religijni niż mahometanie, oni bowiem wolą otoczyć całe miasto grobowym przedmieściem i żyć w środku cmentarza, jak niepokoić zmarłych, kiedybądź, nie we trzy lata, ale choćby we trzy wieki, bezbożnym wygrzebywaniem; jesteśmy mniej religijni niż żydzi, oni bowiem, choć bez ojczyzny, do dziś dnia potrafili uniknąć wspólnego dołu: tak dalece dbają, żeby każdy zmarły miał swój grób osobny, że temu co niema za co, kupują go za składkowe pieniądze. Na was więc samych, na was wyznawców Chrystusa, cięży bezeeny, odróżający wynalazek *ludzkiego śmiecia*, tej zniewagi wyrządzonej formie człowieczeń, za którą nawet poganie karali jak za zbrodnię.”

Wymowne te słowa, jak wiele innych, nie trafiły do serca tutejszej społeczności; zdaje się że dół wspólny, jak wspólny kanał pod Paryżem, trwać będzie tak długo jak stolica.

Co także nie mile uderza cudzoziemca zwiedzającego cmentarze, to niezliczona ilość rzemiosł które tutaj żyją ze śmierci. Pominąwszy akademię lekarską która swoje rzemiosło wciąż żywi trupami; przy każdym cmentarzu są armie konserwatorów, stróżów, grabarzy, urzędników cmentarnych, cyceironów opowiadających przychodniom legendy grobów, kamieniarzy, mularzy, fabrykantów wszelkiego rodzaju sprzętów grobowych, rzeźbiarzy, tokarzy, marmurników i ogrodników pielęgnujących: na miejscu wiecznego odpoczynku zieloność, za roczną płacę wyznaczoną sobie przez rodziny nieboszczyków. Nadto jest osobna administracya pogrzebowa, tak zwana *pompes funebres*, złożona z urzędników wszelkiego stopnia, poczynawszy od żałobnego przodownika, aż do woźnicy co wiezie ciało. Nakoniec legion policyantów osobnych, szpiegujący zmarłych, a zostających pod bezpośrednią władzą gminy i ministra.

W alejach prowadzących do cmentarza, kamieniarze i kwaciarze, jak żydzi na Pocięjowie, wydzierają sobie pogrzebową klientelę, co wprawdzie niecierpliwi czulego przechodnia, ale z drugiej strony ma to dobre, że chroni od zbyt wielkiego zadumania. W ulicach tych, widzisz zbiór nagrobków wszelakiego kształtu, urzeczywistnienie najdziwniejszych pomysłów, galeryę struktur, w której każdy może swój smak zadowolnić: świątynie w guście odrodzenia, starożytnie portyki, gotyckie kaplice, filary z urną lub bez urny, sarkofagi egipskie, greckie kolumny z głową lub bez głowy, napół strzaskane piramidy, obeliski w miniaturze, tablice proste lub pyszne, gładkie płyty marmuru i wykwintne

frontony: wszystko to czeka na nazwiska, po którychby łyzy spływać mogły.

Tu i owdzie, na piedestałach bieleją anioły z kamienia lub gipsu, geniusze z opuszczonemi skrzydłły gaszą pochodnie, kobiety marmurowe udają żalność; czas nieubłagana grozi kosą, trupie głowy, klepsydry, skielety. sowy, całuny, trumny i krzyże, cały ten klasyczny szereg godeł śmierci, choć złagodzony kwieciami, choć przysypyany lawiną nieśmiertelników, z pod ich złotych listeczków wyziera trup, jakby się naigrawał z ludzkiej nieśmiertelności, chociażby wykrojonej z granitu.

Nie mało pięknych znalazłby tu marmurów, ale upominki które w tych sklepach sprzedają dla umarłych, każdą poetyczną duszę ranią swoją prozą, składają się bowiem nieodmiennie z wieńców symetrycznie w formie okrągłej strucli ulepionych z żółtej *wędzy*; z obwarzanków papierowych, na których czarnemi literami wypisane jakieś pożałowanie lub wykrzyknik; z obrazków w czarnych ramkach, gdzie nad jakimś wierszydłami lub uwagą o *niechylnej śmierci* ułożoną stylem Baki, płacze niby wierzba, do której portretu artysta stara pozowała miotła.

Cienie poety żyzmają się uczuwszy takie pożałowanie na swoim grobie. Dlatego każdy z nas jest mocno zakłopotany w tej brukowanej pustyni, ilekroć widomą oznaką chce wyrazić hołd swój wieszczom lub znakomitym mężom naszym, których tyłu na francuskiej ziemi spooczywa. Nie trudniejszego jak dobrać na ziemi kwiat godny pamięci wielkiego poety. Ileż razy obawiając się żeby na nas Słowacki z grobu nie fuknął, psuliśmy głupią symetrią episerskich wieńców, i z białych róż paździcznikowych, i z długich warkoczy błuszczy, z cyprysowych gałązek i nieśmiertelników złotych, usiłovali spleść jeden z takich wieńców jakie lubił... a choć nam się wydawał dość ładnym, zawsze jeszcze drży ręka, kiedy nim stopy grobowca okalamy... a trwożna wyobraźnia zawsze się lęka, żeby estetyczny król-duch zbudzony szelestem tych marnych kwiatków nie zawołał: „a co to?”

Układ pomnika Słowackiego na cmentarzu Montmartre jest dość ładny, ale zbyt ubogi na grobie tego, co potok dyamentów wylał na poezję naszą, tego, który jak powiada autor *Irydiona*: „dał niebu znać o woniach ziemi i kolorach, jakimi nasz glob zakwita.”

Brak marmuru i brak przestrzeni, mocno w tym grobie razi. Na pomniku wykutym z piaskowca przez Oleszczyńskiego, sterczy krzyż opleciony bluszczem kamiennym; pod krzyżem, na stosie książek, siedzi w kąciku ptak Minerwy; medalion wyobrażający bardzo podobne popiersie poety, oparty jest o lirę z potarganemi strunami; z pod książ wysuwa się karta, na której wypisane tytuły głównych dzieł Juliusza.

Układ dość ładny; ale rzecz cała waziuchna, maluchna, krucha, zaduszona dwoma obok stojącymi nagrobkami, nie czyni żadnego wrażenia, a za kilka lat zetrze się zupełnie, bo piaskowiec

nie nadający się do subtelnej rzeźby, już we wszystkich delikatnych miejscach się pokruszył.

Na Montmartre nie wiele znajduje się grobów polskich. Znakomici Polacy prócz Mickiewicza, Niemcewicza i Kniaźewicza, leżą na Père-Lachaise. Pomiedzy nimi najpiękniejsze mają pomniki Klementyna Tańska i Fryderyk Chopin. Ale te zajmujące groby na tak wielkiej przestrzeni rozsiane, że ich odszukać samemu niepodobna. Dlatego też przemysł czyczeronów cmentarnych o których wspomniałem wyżej, sam przez się pozostał w tym labiryncie umarłych. Chcąc nie chcąc zmuszony jesteś wezwać ich pomocy, jeżeli wszystkie ważniejsze pomniki widzieć pragniesz.

Czyczerony na Père-Lachaise mają jeden porządek oprowadzania: pełnią to jak wyuczony taniec. Najprzód wiodą do olbrzymiego pomnika Kazimierza Perier, którego brązowy posąg z wysokości kolumny nad całym cmentarzem góruje. Ztamtąd prowadzą do mausoleum generała Goberta, na którym widać go, jak ugodzony śmiertelnie, spada z pysznego rumaka. Od tej grupy z karraryjskiego marmuru przychodzić idzie za swym przewodnikiem do nagrobka deputata Garnier-Pagès uderzającego trafnością pomysłu: na trumnie stoi pusta mownica. Dalej, uderza wymowny grobowiec Raspaila: do mausoleum w formie grobowca zbudowanego, przychodzi anioł śmierci: figura schowana z głową w białe draperye, pokazuje tylko rękę, którą przez zakratowane okno podaje więźniowi... Pomnik ten nie mniej silne czyni wrażenie jak ów medalion Preaulta zrobiony dla Izraelskiego cmentarza: widzisz wyrazistą głowę umarłego, odzianą całunem; na przyciętych ustach, palec wychudły... co znaczy: znam tajemnicę śmierci, ale nie mogę powiedzieć. Jestto jeden z pomników najgłębszego pomysłu, jakieśmi spotkali.

Dalej pokazują pocerniałe grobowce Delilla, Cuvier'a, Dupuytrena, Gericaulta, Bernardina de Saint-Pierre, Józefa Chénier, obok siebie leżących Moliera i Lafontaine'a.

Ztamtąd do nowych prowadzą pomników, do grobu Balzaka, Berangera, i Musseta. Ten ostatni nader jest piękny: rzucony sam jeden, na zielonem wzgórzu, zawsze w świeże kwiaty strojny. Na wysokim portyku z karraryjskiego marmuru, stoi przepyszne popiersie poety, tém różne od wszystkich innych, że wygląda jak żywe: nieustannie mieniące się światło wśród ruchomych gałęzi, suwa niby myśli i uczucia po kamiennem czole autora *Rolły*. Czarownicą co tak cudownie ożywia marmury, jest obok posadzona wierzbą płacząca, której długie warkocze nieustannie igrają z wiatrem, i życia swojego udzielają posągowi. Stopy pomnika opasuje wieniec róż, które palając całą tęczę różowego koloru, od krwawnika aż do opalu, przytulają się do głazu miłośnicie, jakby swe miękkie czoła o zimny marmur chłodzić chciały. Pomiedzy kwiatami, na tablicy wyryto strofę, w której Musset prosi przyjaciół, żeby na grobie jego posadzili wierzbę. Na przeciwniej stronie, w cieniu, jakby przysłoniony kotarą przy-

watnego życia, wryty ten ustęp z jego *staney* dorobionej do muzyki Mozarta.

„Rappelle—toi, quand sous la froide terre
 „Mon coeur brisé pour toujours dormira;
 „Rappelle—toi, quand la fleur solitaire
 „Sur mon tombeau doucement s'ouvrira:
 „Je ne te verrai plus; mais mon âme immortelle
 „Reviendra près de toi comme une soeur fidèle,
 „Ecouté, dans la nuit,
 „Une voix qui gémit
 „, Rapelle-toi.”

Grobowiec Alfreda de Musset, przy blasku słońca iskrzący jak bryła śniegu; rzucony w objęcia płaczącej wierzby na stoku szmaragdowej łąki, jest ideałem nagrobków. Nie przewidywalimy go, odprowadzając zwłoki poety karawanem *ubogich* na Père-Lachaise wiezione. Prócz nas, szło *ośm* osób za ubogą trumną ostatniego poety Francyi. Chociaż jego talent nie zmalał, bo umarł młodo, śmierć go zabrała w zupełném opuszczeniu. Dopiero po pogrzebie przypomnieli sobie o nim ziomkowie i wielbić go zaczęli. Zwykły to los dusz hardych, co nie wyłudzają poklasków gawiedzi.

Oprowadzenie na Père-Lachaise kończy się zwykle na grobowcu Heloizy i Abeillarda, czczeroni bowiem, jak feleitonisci, poeci i muzycy lubią kończyć dzieło fajerwerkiem, wszystkie więc race wymowy zachowują naostatek.

Od czczeronia dowiedziałem się pośmiertnych dziejów owej ksieni i owego filozofa, których dusze po legendach ludu francuzkiego pokutują.

Abeillard pochowany w przeorstwie Châlon sur-Saone, został przeniesiony potajemnie do klasztoru w Paraclet, gdzie przoryszą była Heloiza; w kilka lat później pochowano ją jak żądała w trumnie kochanka, na cmentarzu. Ztamtąd przeniesiono ich do kościelnej kaplicy, gdzie rozłączone kości kochanków w dwóch osobnych spoczęły grobach. Druga Abessa Paracletu, uważając, że te dwa groby zawracają głowy, kazala je wynieść do kaplicy Świętej Trojcy. Tam leżały do rewulucyi. Rewulucya znów kości włożyła w jedną trumnę i zamknęła samotnie w obszernym sklepie pod kościołem w Nogent-sur-Seine. Ztamtąd dobyto je znowu i pogrzebano w ogrodzie przed *Muzeum pomników francuzkich*. W 1814 roku, ozdobiono ich grobem podwórze tegoż muzeum; w 1815 przeniesieni zostali do kościoła Saint-Germain des-Prés; potem do kaplicy Père-Lachaise, a nareszcie, w kilka lat później, do grobu gdzie spoczywają obecnie pod kamiennym baldychimem.

Pokazuje się, że i umarli miewają swoje Odysee.

Pośród chłodu październikowych mroków, w obec omdlałego słońca i poczerniałych ogrodów, zawaiał tu wietrzyk z południa, który gdzies z krańców świata zdaje nam się przynosić woń wszystkich cierpiących kwiatów, wszystkie rozwiane podmuchem zimy zapachy...

W słonecznej Prowancyi odbyła się biesiada na cześć poetów. Uroczystość obchodzona pod wezwaniem Apolina i jego siostr dziewięciu, była międzynarodowa. Poeta prowancki Mistral i mniej sławne bardy tamtejsze zaproszeni przez Hiszpanów do Katalonii, chcieli oddać piękne za nadobne: za bal w Wenecyi i kolacyą w Ferrarze, wyprawić festyn w Saint-Remy.

Całe dziennikarstwo paryzkie zostało zaproszone na tę trzydniową zabawę do Prowancyi, w której na chwilę odżyły dawne *turnieje miłości i poezyi*. Punktem zjazdu było miasto Saint-Remy kolebka trubadurów i Michała Nostradamus. Biesiada była świetna i uroczysta.

Chwała Bogu! jest jeszcze w tym prozaicznym roku 1868 zakątek Francyi, gdzie sama wzmianka o poezyi i poetach zawraca głowy, przyspiesza serc bicie... Przez trzy dni w Saint-Remy trwały tańce, muzyka, improwizacye, ognie radośne, serenady i processye z pochodniami. Było to święto ludowe: każdy jego kosztą ponosił, wrzucił nietylko pieniądze, ale serce i dobry humor do wspólnej kasy. Spraszano gości setkami: z Prowancyi i z Languedoku przybyły tłumy. Zabrakło hoteli do pomieszczenia, więc mieszkańcy rozebrali ich pomiędzy siebie jak braci, i wszystkim było wygodnie, bo skoro serce otwarte, dom zawsze przestrony. Gościuność! podobnie jak poezya należy we Francyi do rzędu wspomnień: obie te niebiańskie siostrzyce, wygnane z wielkiego kraju, na prowanckiej już tylko ziemi przebywają.

Miasteczko Saint-Remy jest bardzo malownicze. Źródła tam zewsząd się sączą nucąc niby jakieś ballady bez końca... Cyprysowe aleje, cieniste buki, tworzą w około murów świeżą, zieloną przepaskę. Ze wzgórza na którym miasteczko zbudowane, widzisz po jednej stronie żyzne doliny Tarascon'u, po drugiej pasmo Alpinów, które na szafirowém niebie rysują się białe, ostre, majestatyczne.

Ale na ten widok uroczy nie patrzyło przez chwilę miasto zajęte przygotowaniami na przyjęcie gości. Wszystkie słupy zmieniły się w kolumny kwiatów, wszystkie okna powiały zmieszanemi chorągwiami Hiszpanii i Francyi. Plac przed ratuszem zmieniono w salę balową: posąg *wolności* co tam od czasów rewolucyi stoi, był gospodarzem godów.

Na drodze do Tarascon'u wzniesiono dla poezyi Łuk Zwycięzki... Czyż to nie dziwne zjawisko na Zachodzie? Łuk stał w ruinach starożytnego *Glaum* targowiska, na które zjeżdżali niegdyś Grecy z Marsylii, Arles i innych sąsiedzkich miast Prowancyi.

Starożytna ruina leży u stóp Alpinów wśród winnicy. Prócz niej znajdują się tam dwa pomniki najlepiej zachowane w Gallo-Rzymskiej Francyi: słońce pozłociło je z miłością, tak, że ich ząb czasu ukąsić nie może: jestto *luk tryumfalny* stojący na drodze do dziś dnia, zwanój *la Voie Aure'lieum i Mausoleum*, siedemnaście metrów wysokie, postawione na piedestale, na którym rzeźbiarz wyrzył świątynią z korynką kolumnadą. W przedśionku stoją duże postacie w stroju rzymskim. Ze wszystkich ruin starożytnych we Francyi, ten pomnik ma być najlepiej przechowany.

Poei hiszpańscy przybyli do Saint-Remy nad wieczorem. Ludność miejska wyszła na ich spotkanie. Niegdyś trubadury wędrowali piechotą z lutnią na ramieniu; ale zmieniły się czasy: lutnią całkiem zarzucono, a poeci przybyli omnibusem!

Ujrzawszy omnibus z Parnasu, strojne dziewczęta stojące na czatach, puściły się ku miastu cwałem z dobrą nowiną. Przyjęcie było rozrzewniające. Paryżanie nie mogli wierzyć oczom swoim... nie jednemu przyszła na myśl *sześćioletnia* dziewczynka z pól Marsowych, która widząc cudzoziemców żywo podziwiających wystawę, spytała matki czy są *zapłaćeni*, że się tak zachwycają? Matka ugruntowała obiecujące dziecko w przekonaniu, że tylko *najety* człowiek może zapał udawać.

Ale wróćmy do Saint-Remy, gdzie dotąd zafocani ludzie zachwycają się *gratis*. Muzyki rozstawione po drodze przygrywały gościom: zatrzymywano ich co kilkanaście kroków i wychylano puhary na powitanie. Bard Prowancyi, Mistral, którego poematy rozbieraliśmy dawniej na tém miejscu, zaprowadził najpierw Katalanów do starego domu swoich rodziców ubranego świątecznie. Na progu tego domu Mistral w nogi ucałowawszy sędziwą matkę, rzekł: „Dziękuję Wam żeście tak dobrze przyjęli naszych przyjaciół” a do nich mowę zwracając, dodał: Tum się urodził, tum przeżył najlepsze chwile opiewając i kochając Mirielle, tu wszystkie wspomnienia mojego życia. Brakowało mi tylko pod tym dachem grona moich druchów. Przybyliście! Dzięki Bogu!—A ja—odrzekł don Balaquer z Barcellony, popularny poeta Katalonii, b. deputowany w kortezach—ja w twoim starym domu czuję się jak w mojej rodzicielskiej chacie.

Po krótkim wypoczynku, poeci wyszli na miasto. Już noc zapadła: processya ludzi z pochodniami wodziła ich po ulicach. Na placu przed kościołem zapalono stos ogromny z pachnących gałęzi drzew południowych. Około tego stosu zagrały kapele, a dziewczki i chłopcy stukając w tamburyna, kołowali i rzucali w ognisko swoje pochodnie. Był to alegoryczny obraz wymarzony w żywej wyobraźni południowego ludu; stos przedstawiał bardów ludowych: wonny płomień ich zapału w niebo prosto idzie, jak dym miłej Bogu ofiary; lud co miłuje swoich pieśniarzy, porzuca swoich iskiei do stosu.

Jaką apoteozą mogła być wspanialszą od tej przenośni pomysłu prostaków? Widok był prawdziwie malowniczy i poetyczny. Wszystkie pochodnie padły na stos pachnący... sztuczne ognie błysły w powietrzu i oświeciły plac przepełniony ludem, który około ogniska tańczył, dopóki ostatni płomień nie uleciał.

Pochodnia ożeniona z tamburynem, w ręku ludzi południowych ma wdzięk dziwny... jakąś porywającą dzikość... jestto hałas i błysk wielkich namiętności.

Serenada pod oknami poetów zakończyła pierwszy dzień zabaw. Nazajutrz w paradnym orszaku goście poszli na mszę śpiewaną, a potem do domu szkolnego, gdzie zastawiono biesiadę. Tam, obok mera, zasiedli przy stole poeci i literaci dziś sławni w Hiszpanii: Wiktor Balaguer, Antonio Terres, redaktor naczelną hiszpańskiego dziennika *Faro bibaleur*, poeta i publicysta; Albert Quintana, mówca i deputowany Girony; don Angelon, romanso-pisarz; Edward Vidal, dramaturg; Don Pádro, sztukmistrz wysłany przez madryckie *Muses universale*; dalej siełzieli bardy prowansalskie: Mistral, Roumanille, Girard, Aubanel, Beaucaire i t. d. Pomiedzy zaproszonymi z Paryża był pan Saint-René Tailandier, Sarcey, Monselet, Dumas; była cała prassa departamentalna, merowie i adwokaci południowej Francyi: razem około trzysta osób.

Obiad się składał z potraw prowansalskich. Przy deserze Mistral wniósł toast na cześć Francyi i Hiszpanii; przemowę swoją zakończył temi słowy:

„Nie jeden spyta: koniki polne, dzikie ptaki, po coście przyszli z waszemi piosneckkami? Czego od nas żądacie w tej zadłusanéj epoce pracy i zniechęcenia. Czego chcemy? Chcemy żeby lud nasz nie przestał wierzyć, kochać i mieć nadzieję; chcemy żeby nasze córy nie gardziły rodzinną Prowancyą, żeby zamiast wzdychać do paryzkich i madryckich wymysłów, pozostały proste, czyste i wzniosłe w prostéj sukience i rodzinnej wiosce; żeby nie wzdychały do próżności zepsutego świata, ale zawsze nosiły na czole arlezką wstęgę, jak dyadem królowej. Chcemy żeby nasz lud, poznał tytuły swojego szlachectwa; żeby wiedział że pochodzi z dzielnego szczepu, który niegdyś w Marsylli stawiał czoło Romie Cezarów, w Arles bił Saracenów, w Tuluzie i w Avignonie fałszywych krzyżowców, a w Tulonie lansknechtów Karola V. Chcemy żeby lud nasz wiedział że nasi ojcowie dobrowolnie się przyłączyli do szlachetnej Francyi, zachowując swój język, obyczaj i barwy własne. Niech lud wie, że język którym mówi był językiem poetyckim i literackim Europy, że był językiem miłości i oświaty. Prowancyi i Katalonii należy pierwsze miejsce pomiedzy ludami Południa. Skoro pocujemy tę starą godność naszą, na zapadłej Prowancyi zakwitną sztuki, urosną ludzie i naród spotęnieje. Piję na cześć naszej siostry Katalonii, naszej przyjaciółki Hiszpanii—Francyi, naszej matki.”

Don Balagner się zerwał i ognistą improwizacją w kastylskim języku odpowiedział Mistralowi, w końcu wniósł toast na cześć braterstwa ludów. Adwokat z Tarasconu wśród rżęsiстых oklasków wniósł zdrowie Wiktora Hugo, a Balagner poprawił go, wnosząc potrójny toast na cześć Lamartina, Hugona i Musseta.

Potém deklamowano rozmaite wiersze francuskie, hiszpańskie, prowaneckie i katalońskie narzeczem. Wino prowaneckie 1472 roku natchnęło improwizacyę dziwnie ogniste... Zakończył je toast na cześć *wiecznej młodości*.

W tak gorącej atmosferze gościom się wydawało że się cofnęli do złotego wieku; nikt nie przypuszczał że jest o sto mil od błyszczącego a zimnego Paryża. Kto go nie zna, kto w nim nie żył, nie zrozumie jak wielka różnica zachodzi pomiędzy tonem prowaneckiej biesiady, a tonem paryzkich zborów konwencyonalnych, zawsze chłodnych, pomimo rotowego ognia dowcipu i pięknych słówek których tam sypią krocie. Biesiadujący z poetami Paryżanie, ludzie wykształceni, bogato od natury uposażeni, ale wystygli w ciągłej styczności z obojętną i prozaiczną powszechnością, wrócili z południa zachwyceni tym płomieniem, który ich na chwilę ogarnął i rozgrzał, wrócili odświeżeni zbawiennem tehniemieniem nie kłamanej wiary, nadziei i miłości; tém mocniej poczuli brak tych trzech cnót kardynalnych w swoim świecie, brak tych skarbów ducha, bez których człowiek zawsze będzie ubogi, bez których wszystkie skarby ziemi są tylko sposobem odurzenia zmysłów, pokarmem obfitym a nie uwalniającym od duchowego głodu i czczości serdecznych.

Bogata Francya jest ubogą, bo jej brak ideału religijnego który wzmacnia, podnosi, pociesza, uczy kłaść na szali postanowien człowieka coś więcej nad wagę ziemskiego dobrobytu. Ogół zwątpiały, a tém samém palony żądzą używania, porzucił ideał Chrystusa jako zbyt surowy. Nauki dzisiejszych moralistów téż do przekonania powszechności nie trafiają: widząc potęgę twórczą przemysłu popartego nauką, wyrobnik nie chce wierzyć w wieczność nędzy. Czuje instynktowo że dobre rozłożenie pracy, dobre użycie dostatków, pomniejszyłoby niedostatek. Myśl o przyszłym życiu, pojęcie że nie wszystko tutaj się kończy, coraz mniej umysły zajmują: ideał moralny wybił się zupełnie. Duchowieństwo francuskie, które samo jedno może ideał Chrystusowy utrzymywać w massach, czém inném zajęte: leje armaty, fabrykuje Chassepoty, werbuje ochotników, myśli o odzyskaniu ziem straconych; podnosi Izabellę, restauruje Franciszka II, usiłuje rozedrzeć Włochy na troje: przy tylu interesach politycznych, gdzież czas do wpajania w rzesze oderwania od dóbr tej ziemi?

Tak więc, z jednej strony ideał Chrystusa stał się zbyt ciężkim brzemieniem na słabe barki ludzi nie wierzących, z drugiej jest opuszczony przez swoich naturalnych obrońców nie mogących wpajać pogardy rzeczy ziemskich, kiedy sami trzymają ich się oburącz.

Francuzki wyrobnik rozumujący logicznie powiada: jeżeli rzeczy ziemskie tak mało znaczą, czemuż tak wiele o nie chodzi duchownym? Jeżeli słusznie nad ich nabyciem pracują, dlaczegoż nie mamy czynić tego samego?

W części to tłumaczy, dlaczego ideał religijny tak dziś tu mało zajmuje miejsca w duszach: apostołowie jego, teoryi swoich nie praktykują, są jako drogowskazy pokazujące drogę, którą sami nie chodzą.

Brak ideału religijnego smutnie się daje czuć we Francyi. Wyrobnik szukający w swęj głowie kombinacyj ekonomicznych ku usunięciu nędzy, daleko bliższym byłby celui, gdyby zrozumiał jak potężną pomoc moralność osobista mogłaby przynieść wynalazkom ekonomii politycznej. Zamiast marzyć o zniesieniu kapitału, powinienby praktykować ład, oszczędność, ofiarę; wiedzieć, że nie wielkiego nie nabywa się bez wielkiego wysiłku moralnego; że czas jest warunkiem wszelkiego przeobrażenia trwałego; że się w jeden dzień nie wyzwala klasa społeczna, że do tego potrzeba usilnej pracy kilku pokoleń; że ci co dziś są u szczytu, przez wiele wieków na to pracowali.

Nie ma przepisu na robienie łatwo i szybko trudnych rzeczy. Professorowie obiecujący nauczyć grać na fortepianie albo na skrzypcach w piętnastu lekcyach, są szarlatani okradający uczniów swoich. Ażeby co umieć, trzeba pracować całe życie, pracować tak jakby się miało przed sobą wieczność. I wtedy jeszcze, doszedłszy do końca swego zawodu, człowiek spostrzega że dopiero zaczął, że nie nie umie.... tak dalece prawdą, że najdłuższe życie jest tylko początkiem.

Poczucia trwania brak Francuzom. Człowiek zostawiony sobie, odosabniający się od swoich przodków i następców, czuje że ma tylko jeden dzień przed sobą: pilno mu używać, i właśnie ten pośpiech udaremnia wszystkie jego wysilenia. Ludzkość dokonuwa w tej epoce przeobrażenia które będzie korzystne, ale transformacya wymaga długiego przysposobienia. Francuzi otrzymali głosowanie powszechne. Teraz powinni pracować nad tem, żeby się stali godnymi tego zadania. Powinni się oświecać, badać gruntownie wszystkie pojęcia nowe, oczyszczać swój ideał, starać się na szkicować plan przyszłej budowy społecznej; synowie dzisiejszego pokolenia rzucić jego podstawy, wnęcy obciążą powstający gmach; ukończenie jego zobaczy ludzkość, w dzień skończenia swych dziejów.

Tymczasem niech każde pokolenie pełni swój obowiązek. Naszem zadaniem podnosić siebie samych, przykładem świecić, rozpędzać ciemnotę, kształcić młodsze umysły nie zacierając w młodych sercach wiary. To tylko czynimy codziennie i wytrwale, a potomność odda nam tę sprawiedliwość, że postawieni na krańcach dwóch światów, pomiędzy napadami nie chcąc umrzeć przeszłości a porywami przyszłości której urodzić się trudno, nie zaniedbaliśmy niczego co może złagodzić upadek tego co ma upaść,

niczego, co dopomaga wzrostowi czystego ziarna, którego plonu w najlepszym razie ledwie prawnicy nasi doczekają.

Paryż więcej niż kiedy rozpierzchły tej jesieni. Brak zajęcia umysłowego na polu literackim, brak ważnych wypadków spotęgował ogólny pociąg do podróży. Dotąd jedni siedzą jeszcze w Hawrze, gdzie wystawa powszechna i wałki byków dostarczają rozrywki; drudzy wyjechawszy ku południowi, do Włoch zawędrowali; trzeci, a tych najwięcej, dotąd siedzą w Badenie, który stał się willą francuzkiej stolicy. Baden jest rajem Paryżanów. Nie widać tam wcale ludzi chorych: wszystko teźnie radością i zabawą. Nędza się kryje pod świątecznym płaszczem; zgrany, jeszcze tam jeździ kareta; nikt się nie zabija, jak w Homburgu: spokój rozlany w powietrzu, piękność miejsca, odpędza myśl samobójcu.

Rozrywki przystępne w Baden dla każdego: jedni czytają, drudzy grają w wista, trzeci w domino, czwarcy w ruletę. Grupa graczy pięci obojg, jest zawsze najciekawszym przedmiotem studyów dla psychologa. Szulery nie widzą prócz zielonego stołu; rozmowa ich jednaka: „była serya dysek czerwonych przecięta czarną piątką; przegrałem sto ludwików, wygrałem sto, książę przegrał sto tysięcy, księżna wygrała ośmdziesiąt” W wieczór bywa relacya odwrotna: milion pospacerowawszy dzień cały po zielonym stole, zostawia w końcu więcej zabitych niż zwycięzców.

Cechą życia badeńskiego, równość: pan przepuszczający dziennie pięćdziesiąt tysięcy, zadaje się z artystą wydającym dzień sięć franków. Zabawy wspólne, bezpłatne, nie ma nawet etykiety ubioru. Najprostsze suknie widzieć można obok kobiet ubranych jak księżne w czarodziejskiej melodramie. Wieczorem, pod tym względem rzut oka ciekawy: stroje damskie przypominają tłustoczwartkową maskaradę: grube warkocz okręcone około głowy, wydały się zbyt skromne: rozpuszczono więc włosy, a jeśli ich którejś brakuje, wdziewa perukę a la Louis XIV, spadającą do pasa.

Raz jakiś piesek dziwnie ufarbowany wyleciał na taras: ogon miał różowy, runo pomalowane na niebiesko i żółto, nos położony. Wszyscy zaczęli podziwiał mopsika. Zdziwiony tym podziwem pewien Paryżanin rzekł obojętnie a głośno: „Nie znajduję żeby ten pies był nadzwyczajniejszy od kobiet które widzę tutaj.” Prawda że wyjąwszy wierności, analogia była uderzająca.

Muzykę słyhać wszędzie: w ogrodzie i w salach. Rano bal dla dzieci małych; wieczorem bal dla dużych dzieci, albo teatr na którym występują najlepsi aktorowie paryzcy. *Wesele Figara* przedstawiono kilka razy bardzo świetnie. Arcydzieło to zawsze młode, zawsze pełne alluzyi, co jeszcze dowodzi że świat się zmienia bardzo powoli, że dziś klaskają grotom, które w 1784 roku wstrząsnęły tronem Ludwika XVI.

Dzielny to był człowiek, ów Beaumarchais, zegarmistrz, muzyk, poeta, agent dyplomatyczny, wydawca i rusznikarz. Od niego to Ameryka otrzymała te strzelby, któremi wypędziła Anglików.

Cheąc poznać wielostronną figurę autora *Wesele Figara*, trzeba czytać dzieło pana Loménie pod tytułem „*Beaumarchais et son temps.*” W tej monografii napisanej stylem pana Sainte-Beuve, objęty cały ruch ostatniego okresu XVIII wieku, który rewolucyą zwiastuje, przysposabia bunt umysłów przeciw przywilejom urodzenia i nadużycia władzy. „*Vous Vous êtes donné la peine de naître*” powiada Figaro hrabiemu Almaviva. To jedno wyrażenie potępiło prawo starszeństwa i konstytucyą staręj Francyi.

Rzeklibys że Beaumarchais wcielił się w tego Figara zu-chwalca, przeciwstawiającego podstęp sile, dowcip arrogancyi panów. Nader ważnem dziełem była ta komedia wyszła cała zbrojna z jego mózgu. A kiedy później, prześcigniona przez wypadki, straciła wziętość, miała prawo odpowiedzieć tym co ją już za nie nie mieli: ja byłam poprzędnikiem waszym, kiedyście jeszcze bawiany czcili, ja dziubałam je. Jakoż, Marat konował stajen hrabi d'Artois, jeszcze pisał do niego ody, kiedy Beaumarchais siedział z wszetecznikami w więzieniu świętego Łazarza za niesforność.

To zamknięcie w turmie hańby, srodze zranik Beaumarchaigo; drugą ranę zadawa mu laska księcia Chaulnes. Rada marszałków, najwyższy sąd spraw honorowych, orzekła, że książę i par, nie winien zadośćuczynienia synowi zegarmistrza. Figaro pomścił nie tylko Beaumarchaigo, ale całą liczną kastę której jedynym majątkiem i przywilejem wartość osobista.

Jestto szczęśliwy przywilej; rzeczywista wartość *Wesela Figara* nie dostatecznie go tłumaczy. Komedia ta miała przeznaczenie wspólne wielu ludziom, którzy przeszli rewolucyą: uważana początkowo za hasło buntu przeciw wszystkiemu co było najświętszego na ziemi: głupota i nadużycie, zbladła w chwili uniesień rewolucyjnych. Za pierwszego cesarstwa publiczność znowu chętnie słuchała satyry szlacheckich śmieszności. Sztuka była to obcinana to zakazywana. Za Restauracyi stała się wraz z *Świętoszkiem* bronią opozycyi. Za Ludwika Filipa grano ją spokojnie, bez współudziału publiczności. Za dni naszych znowu odzyskała ważność pamfletu. Dlaczego? Łatwo zgadnąć. Rzeczyb można, że przyjęcie jakie czyni publiczność francuzka *Weselu Figara*, jest miarą liberalizmu jęj rządów.

Publiczność zarenańska nie bardzo przyjmowała Figara w teatrze badeńskim, ale Francuzi będący w przeważnej liczbie, z całej siły oklaskiwali swój dowcip rodzinny, rozsądny a obosieczny, który dalej niesie i głębiej w masy wnika niż najzabawniejsza nauki: Francuzi żyją conceptami nie książkami.

Trupa teatru francuzkiego grała w Baden *Figara*. W Paryżu przez całe lato na scenie były zupełne pustki; teraz dopiero teatru zaczynają się powoli ożywiać.

Teatr Cluny przedstawił udatną komedię pana Cadol, pod tytułem „*les Inutiles*.” Są to ludzie bogaci z urodzenia, którzy zjadają swoją fortunę i zużywają siły jedni na wielkie głupstwa, drudzy na małe niedorzeczności. Autor przedstawia trzy okazy tego rodzaju: eleganta z trzydziestego roku; dzisiejszego *Petit-crevé* i powabnego hulakę, który niepospolite zdolności i rzadką czynność umysłu trwoni na gonienie uciechy. W tych trzech typach pan Cadol streszcza kategorię *niepotrzebnych*. Żaden z nich nie jest nowy. Akcja w którą ich rzuca nie nowsza, wzięta żywcem z *Philiberte* Emila Augier.

Młoda sierota której matka nie kochała, w opuszczeniu i samotności uroiła sobie że jest szpetna, jakby można było być szpetną kiedy się ma gorące serce i wzniosłą duszę, której piękność na zewnątrz wybija. Panna jest bogata. Miliony powiększają nieufność którą jej wzbudza urojona szpetność. W każdym pretenencie do swojej ręki widzi chciwego obludnika, który ją chce poślubić dla posagu.

Około tej szpetnej panny kręci się cała intryga. Zalecają jej się naraz: stary zrujnowany szlachcic potrzebujący przynajmniej miliona na wyporządzenie domu ojców; elegancik dzisiejszy, z którego tylko zły przykład zrobił galernika uciechy, i młody adwokat, który w ostatnim akcie przybywa podpisać kontrakt ślubny.. nie swój.

Mężem zostaje powabny hulaka, który przybywa na wieś odpocząć po trudach życia pracowicie niepotrzebnego. W domu swojego szwagra spotyka dziedziczkę, której ten szwagier jest krewnym i opiekunem. Syn marnotrawny odgaduje skarby ukryte tą nieklamana skromnością, gotów już się schylić i uszczknąć fijołek: uważając siebie za bogatego, nie lęka się majątku panny. Ona go kocha potajemnie. Ugoda stanęłaby więc niebawem i byłby koniec sztuki, gdyby konkurent nie ujrzał nagle że przejadł cały majątek, nie tylko swój ale i szwagra. Jakże teraz zażądać ręki bogatej dziedziczki.

Ona sama rozwiązuje trudność. Odgadłszy co się święci, mówi hrabiemu nie ubliżając ani swój dumie ani czystości: „ożeń się ze mną i wyratuj swojego szwagra a mojego opiekuna.” Hrabia nie chce przyjąć ofiary, ona więc, korzystając z pierwszego dnia pełnoletności, rzeka się ojcowskiego spadku. Spadek wraca do opiekuna który go oddaje bratu zony. Tym sposobem, panna poślubiając hrabiego, nie traci swoich milionów, których się wspałałomysłnie wyrzekła.

W tém wszystkiém, jak widzicie, nie nowego: ani pomysł, ani charakter, ani położenia. Ale z tych żywiołów znanych, pan Cadol ułożył sztukę nadobną; jeśli nie oryginalną, to mającą woń sobie właściwą. Wyraża on uczucia poezji w sposób nader miły. Subtelna to umiejętność, przedstawiać na scenie skryte wzruszenia dziewczęj duszy.

Scena naprzykład taka: Dziedziczka siedzi sama na kanapie i duma... o czém? o swojej nieładnej twarzy, o miłości której nigdy nie wzbudzi, o swoim życiu w pączku uwiedłem... Ale czyż ta twarz tak niewdzięczna jak jej się zdaje? Patrzy w lustro... zrywa różę czerwoną i chce ją włożyć we włosy... Wtém hrabia przy-padkowy świadek tego napadu kokieteryi, zbliża się po cichu... Panna w zwierciadle spostrzega jego głowę... Zdybana na gorącym uczynku próżności, mocno zakłopotana upuszcza różę; hrabia ją podnosi... i z gestem poszanowania i miłości pełnem, sam kwiat kładzie na czarne włosy dziewczyny.

W opowiadaniu wdzięk tej sceny znika, ale w sali lube daje wzruszenie. Jest w manierze pana Cadol świeżość, rzadka w Paryżu. Lękać się jedynie trzeba, żeby tak lekko cieniując nieja-skrawe barwy, nie wyblakł z czasem. Sztuka jego ma zapach subtelny ale słaby, czuły ale blady kolor tej *Rozy*. Takim jakim jest, pan Cadol wydaje nam się najwięcej obiecującym z młodych paryżkich dramaturgów,

W teatrze francuzkim przedstawiają teraz malutką sztuczkę pana Legouvé „*A deux de jeu*” którą pierwszy raz odegrano na dworze w Fontainebleau. Autor chciał stworzyć coś w rodzaju mussetowskich *proverbów*. Jestto rozmowa pomiędzy dwiema osobami, z których jedna wedle tradycyi, margrabiną, druga vicehrabiną. Długo rozmawiają z sobą ci państwo, a słuchacz nie wie gdzie dążą... aż w chwili rozstania dowiaduje się o co chodziło i spostrzega, że to co powiedziano nie warte było słuchania.

Na co teatr francuzki przyjmuje takie sztuki? Na co je p. Legouvé przedstawia? Temu mianowicie dziwić się trzeba wiedząc kto jest p. Legouvé. Ma on ustaloną sławę zacnego i salonnego człowieka; bogaty, jest synem akademika i sam akademik prawem sukcesyi. Szanowany, dobrze widziany przez wszystkie stronnictwa, dla wszystkich uprzejmy, miły w rozmowie, *privat docent* polecany przez wszystkie dzienniki, umiejący władać piórem i szpadą. W takich warunkach najwłaściwiejby mu było żyć sobie spokojnie, przyjmować przyjaciół zdaleka od publiczności. Ale to mu nie wystarcza. W księdze przeznaczeń napisano, że człowiek nie może być zupełnie szczęśliwy na tej ziemi. Legouvé lubi żeby się nim zajmowano, łaknie sławy.... i ta słabostka psuje mu życie. Takby mu łatwo było nie napisać tej ostatniej sztuczki, albo jeżeli się już nie mógł powstrzymać, nie przedstawiać jej publicznie, tylko w swoim salonie pomiędzy dwiema filizankami herbaty. Wszyscy zaproszeni byłiby znaleźli herbatę pachnącą, grzanki smaczne, a *proverbe* gustownie nasmarowany.

Niestety, tajemny hold nie wystarcza panu Legouvé, zupełnie jak piękna ale nie znacząca w świecie kochanka próżnemu kochankowi, chce żeby jego muzie publiczność wybijała pokłony. Więc trubadur Manin'a, korespondent liberalnych dzienników

podający się za republikanina Legouv , jedzie do Fontainebleau, na dw r si  weiska i ofiaruje owoc sw j pracy. Przyjmuj  wdziecznie i komplementami p ac ; on to bierze za dobr  monet  i z Fontainebleau swoj  komedi  niesie do teatru francuzkiego. Tam, poniewa  ma podw jne plecy: urz dowe i opozycyjne, dyrektor p. Thierry nie  mie mu powiedzie c poprostu: zmi j si  panie Legouv , spocznij na dawnych wawrzynach, nie ubli aj sobie przedstawiaj c byle co.

Tak by  powinien powiedzie c dyrektor francuzkiego teatru, gdyby by  rozumnym przyjacielem. Ale rozumnych ma o, a mniej jeszcze przyjaci  .

Nader przykre uczucie budzi widok pisarza s awnego, kt ry postradawszy smak i natchnienie, mo e utraci  nabyt  s aw  p odami bez warto ci, nie maj c nawet na swoje usprawiedliwienie potrzeby pisania. Krytycy wtedy b otem jego s oneczn  obrzucaj  tarcz , i to jest kara pysza k w. B g tak m drze rzeczy urza dzi ,  e pr  no  , samolubstwo, s  z r dlem najdotkliwszych cierpie i cz owieka. Powinnoby to n latwi  kochanie bli niego.... A jednak rzadko kto siebie nie najwi cej kocha. Artysci, mianowicie poeci, kap ani pi kna i prawdy, w sobie rozmi lowani do szale stwa! Dawniej ludzie, a mianowicie arty ci, w  wiecie widzieli Boga; dzi  widz , w nim wszystko pr cz Niego. Dla handlarzy  wiat jest pak  bawe ny, worem pieni dzy; dla m odych m czyzn kobiet , dla niekt rych kobiet m czyzn ; dla innych salonem, kotery , miastem; dla artyst w, dla poet w w og le  wiatem, jest ja.

Im cz owiek niezaspokojony t m wszystkim, dlu ej patrzy, t m wi cej w tpi... Przypatruj c si  ludziom, dostrzega,  e odwaga najcz e ci j bywa  unakiery , roztropno   te  rzo stwem, wspania omy lno   rachub , sprawiedliwo   zbrodni , delikatno   nie mia o ci , uczciwo   organizacy ; dostrzega,  e ludzie prawdziwie delikatni, wspaniali, odwa ni i kochaj cy, nie maj  ani znaczenia, ani uznania u ludzi. Stru aby cz owieka ta smutna prawda, gdyby nie mia  jako *antidotum*—*nie lawnych*.

Velocipede zwraca uwag  powszechn  w Pary u. Spotka  go mo na wsz dzie kr z cego po bitych drogach, wymijaj cego powozy, dokonywaj cego cud w zr eczno ci pod wodz  bie łego je dzc . Przyrz d ten bywa zwykle na dw ch ko ach; z trzeci m ko em ma wi cej podstawy, jest wygodniejszy, ale idzie powolniej. *Velocipede* dwukolny,  e tak powiem klasyczny, najwi cej dziwi. Nie tylko spaceruj cy ale biegaj cy za interesami ludzie, staj  i goni  wzrokiem dziwny wehiku , kt ryby mo na nazwa  powozem demokratycznym, bo zdaje si  powo any do rozwi zania problemu t niej jazdy osobistej.

Francuzi ze wszystkiego najpierwsi się śmieją, potem biorą pod uwagę. *Velocipede* przeszedłszy już pierwszy okres, wszedł w drugi. Śmiały ten wozik zyskał prawo obywatelstwa we Francji: ma już swoich osobnych fabrykantów, swoich profesorów zagorzałych praktyków. Stał się nawet zamówką do zakładów. Wyścigi *velocipedów* z nagrodami zaprowadzono w Vésinet i Hippodromie. *Velosy* biegają jak wyścigowe konie. Takie wyścigi przyczynią się do ulepszenia fizycznego rodu ludzkiego, nadto, są dlań rozrywką, co nie mało znaczy.

Modny ten przyrząd dotąd jest tylko przedmiotem zabawy, ale drobne udoskonalenie wprowadzi go w poważniejsze użycie.

Nie pierwszy raz *velocipede* jawi się we Francji. Wynaleziony w 1808 roku próbował się naturalizować w Paryżu; robiono doświadczenia publiczne w Luxemburskim ogrodzie, ale przyrząd był wtedy dalekim od tego, czém jest dzisiaj: jeździec odpychał się nogami od ziemi. Mechanizm był w kolebce. Wnet też zaniechano takiej jazdy; tylko w karykaturach przechowała się do dni naszych.

Przez lat dwadzieścia zapomniany *velocipede* pojawił się znowu w 1830 roku. Wtedy urzędnik pocztowy Dreuze, ulepszył dawny przyrząd: jeździec znajdował oparcie na osi dwóch kół, nie na ziemi: było prawie toż samo co dziś widzimy. Pan Dreuze przedstawił ten przyrząd jako wielką pomoc dla wiejskich listonoszów: mieli oni tym sposobem szybciej i łatwiej pełnić swój obowiązek.

Przyjęto projekt Dreuzę i wykonano. Ale nadeszła zima. Służba listonoszów jadących na *velocipedach* okazała się nie praktyczną. koła ślizgały się na twardszym śniegu, a nie postępowały. Można było podkuć koła, albo też nie używać ich w ślizgawicę: uznano za rzecz krótszą zarzucić cały przyrząd. Z rozkazu władzy odebrano *velocipedy* listonoszom.

W kilka lat później powróciły w innym kształcie. Były to powoziki o trzech kołach posuwające się za pomocą korby obracanej rękami jeźdźcy. Trudno było kierować takim wózkiem: zbyt męczył ręce słabsze niż nogi. Zarzucono go.

Dziś *velocipede* Dreuzę z 1830 roku zmartwychwstaje. Zda się się iż tą razą to wznowienie doprowadzi do użytecznego zastosowania. Wnosić to można z powszechnego zajęcia i coraz wzrastającej liczby prozelitów. Nienależy jednak przesądzać wartości *velocipedów*. Takim jakim jest, ten przyrząd oddać tylko może usługi jednostkom, przenosząc je szybko z miejsca na miejsce po dobrze utrzymanej drodze. Znowu mowa o oddaniu tych wózków na usługi wiejskich listonoszów i sług pieszych zarządu telegrafów. Zastosowanie byłoby dobre, ale praktyczne będzie dopiero wtedy, jak *velocipedy* będą mogły chodzić po złej drodze w każdej porze roku. Oddany jakim jest do noszenia listów i depesz, *velocipede* doczeka niezawodnie losu jaki miał w 1830 roku, to jest, będzie porzucony i zapomniany. Zbytni pośpiech

psuje często najlepsze projekta. Trzeba wydoskonalić *velocipede* chcąc z niego mieć nie tylko zabawkę: kto nie dojrzał owoc zerwie, ukąsiwszy rzucić go musi.

Jazda powietrzna, chociaż dziś mało czyni hałasu, nie jest zaniechaną. Założono dwa Towarzystwa aeronautów: jedno we Francyi, drugie w Anglii, celem udzielania sobie wynalazków poczynionych w tym przedmiocie. Towarzystwo francuzkie wydaje nawet miesięcznik pod tytułem *Aeronauta*. W piśmie tém jest sprawozdanie z poszukiwań mogących rzucić światło na trudne zadanie. Mnóstwo ludzi wierzy mocno w pomyślne rozwiązanie kierunku balonów; nad wynalezieniem go pracują mianowicie Anglicy.

Angielskie Towarzystwo Aeronautów urządziło tego lata w Sydenhamskim pałacu swoją wystawę. Towarzystwo to liczy w swém gronie największych magnatów Wielkiej Brytanii; na rozwiązanie naukowej łamigłówki poświęcają oni wytrwale swój czas i mienie. Prezesem Towarzystwa jest książę Argyll wiceprezesami, książę Sutherland, lord Grosvenor, lord Dufferin; skarbnikiem jest uczony fizyk znany z poszukiwań i odkryć dokonanych w przedmiocie jazdy powietrznej, James Glaisher.

Expozycja tegoroczna była przysposobieniem do większej, projektowanej na rok przyszły. Trwała tylko dziesięć dni. Ciekawe są zadania naukowe, jakie wyznaczili badacze jazdy powietrznej.

Pierwszą nagrodę (62 funty szterlingi) ofiarowało Towarzystwo „dla wynalazcy *latawca*, z pomocą którego możnaby się znosić czy pomiędzy tonącym okrętem i portem, czy też pomiędzy dwoma okrętami.”

Drugą nagrodę (50 funtów) kompania pałacu kryształowego przeznaczyła wynalazcy przyrządu poruszanego parą, czy jaką inną siłą, któryby się utrzymywał i kierował w powietrzu, na wysokości przynajmniej stóp dziesięć, przynajmniej pięć minut.

Książę Sutherland ofiarował trzecią nagrodę (100 funtów) „wynalazcy maszyny, która nie będąc ani balonem ani latawcem, podniosłaby się z człowiekiem na wysokość 120 stóp.”

Czwartą nagrodę (100 funtów) ofiarowano wynalazcy maszyny najlepszej w proporcji do swojej siły, jakiejkolwiek źródła tej siły.

Dwunastu wynalazców konkursowało o pierwszą nagrodę; siedmiu o trzecią, a jedynastu o czwartą. Dwudziestu sześciu nadesłało wynalazki odnoszące się do kierunku balonów. Po czwartą nagrodę zgłosił się cud małej. Stworzył go pan Shill. Jestto maszyna parowa o sile jednego konia, ważąca tylko funtów dwanaście!

Nie znamy jeszcze wyroku sędziów przysięgłych o tych wszystkich wynalazkach: poznawszy go, dopiero będzie można poznać dzisiejszy stan praktyczny jazdy powietrznej.

Pani Edgarowa Quinet ogłosiła napisane przez siebie „*Pamiętniki Wygnania*.” Jestto niby martyrologia, która łączy wyciska sentymentalnym współziomkom będącym w opozycji, a wywołuje uśmiech na usta tych, co znają większe męczeństwa. Dzieło znajduje mnóstwo czytelników.

— Professor literatury przy uniwersytecie Paryżkim, pan Meziere ogłosił zajmujące studjum pod tytułem „*Lessing et Diderot*.” Przeprowadza on porównanie dwóch sławnych krytyków, usiłując dowieść, że wiele genialnych spostrzeżeń Lessing wziął od Diderota. Nie zważając na tę dążność patryotyczną, można się wiele z tej rozprawy nauczyć.

— Pan Verner autor „*Pięciu tygodni w balonie*” wydał odyseję w podobnym rodzaju, pod tytułem „*Voyage sous les flots*.” Jestto przyjemny sposób poznajomienia młodzieży ze zjawiskami i mieszkańcami morza.

— Pan Felix Foucon wydał tom pod tytułem: „*La Nature et l'Homme*.” Jestto historia pracy człowieka, treściwy wykład podboju materji przez potęgę ludzkiego ducha: jestto wynik długich badań, tém szacowniejszy, że autor na materialne zdołbyce nie zapatruje się ze stanowiska materialnego.
